

TWA

Zimne

R

D

O

C

H

wybrzeża

Posłowie
Łukasz Jan Berezowski

MARGINESY

COPYRIGHT © Szczepan Twardoch

COPYRIGHT © FOR THE AFTERWORD BY Łukasz Jan Berezowski

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Przyjaciołom, którzy szli ze mną po zimnych wybrzeżach

Tundra nabrzeżnej równiny ściela się miękkim dywanem i zachęca do bosego spaceru, przywodząc na myśl miąższość grubych poduch ciemnozielonego mchu w litewskich puszczech.

Jednak to złudne wrażenie – nie tylko dlatego, że jest zbyt chłodno, by spacerować na bosaka. Podczas krótkiego arktycznego lata odmarza jedynie wierzchnia warstwa ziemi i woda, spływająca obficie z otaczających równinę lodowców, nie schodzi w głąb, lecz zatrzymywana przez wieczną zmarzlinę nasycza ubogą glebę, zamieniając tundrę w grzęzawisko. Przykryta niskimi trawami, karłowatą wierzbą, porostami i mchem ugina się pod butem spacerowicza, a powstałe zagłębienie natychmiast podcieka mętną wodą, jakby ktoś próbował iść po zgniłych pluszach stojącej w bajorze kanapy.

Jedynie gumowe kalosze nie przemokną w takich warunkach, a jeśli grubo wyścielone są filcem, noszącemu je człowiekowi nie zagraża również zimno. Takie właśnie obuwie nosił człowiek, który usiłował dotrzeć do ostrych stoków Lidfjellet, ale tym razem nie na wiele się przydało, gdyż człowiek ten nie szedł, lecz się czołgał. Całe jego ubranie, watowany anorak i brezentowe spodnie, przesiąkło już wodą na wskroś.

Tundra nie ugięła się za to prawie wcale pod łapami niedźwiedzia polarnego, bo łapy króla Arktyki są szerokie jak

rakiety śnieżne. Niedźwiedź, który podążał za czołgającym się człowiekiem, nie wyglądał zresztą królewsko: był to wychudzony, niedawno odtrącony przez matkę trzylatek. Z nadejściem wiosny nie zdążył za cofającą się na północ granicą lodu pakowego, obfitującą w foki. Nie ważył więcej niż sto kilogramów, od pięciu miesięcy żywił się ptasimi jajami, zjadł też trochę mięsa z wyrzuconego przez ocean zgniłego cielęcia białuchy i dojadł obgryziony przez lisy szkielet renifera, potężnymi szczękami miażdżąc kości i wylizując szpik. Nie udało mu się niczego upolować, fok było bardzo mało, a dobrze odżywione letnią trawą reny bez trudu mu uciekały. Był bardzo zainteresowany pełznącym po tundrze stworzeniem, wydało mu się podobne do niewielkiej foki. Tylko zapach był dziwny, nieznany.

Człowiek widział podążającego za nim drapieżnika, czołgał się najszybciej, jak mógł, trzymając się kurczowo myśli, że stoki Lidfjellet będą dlań schronieniem.

Niedźwiedź w końcu pokonał obawę, ruszył wyciągniętym kłusem i bez trudu dognał swoją potencjalną ofiarę.

Człowiek usłyszał za sobą miękkie uderzenia łap o ziemię i zrozumiał, że nie ma już żadnych szans na ucieczkę. Odwrócił się na plecy i z pochwy przy pasie wyciągnął mały nóż fiński, wątpliwą obronę przed kłami i pazurami niedźwiedzia. Ten zatrzymał się skonfundowany tym, co zobaczył – to nie była foka i bez wątpienia nigdy wcześniej nie widział takiego stworzenia. Stworzenie zaczęło na dodatek przeraźliwie wrzeszczeć, niczym mewa, której wydrzyk rabuje gniazdo.

Człowiek wiedział, że niedźwiedzia polarnego dość łatwo przestraszyć, krzyczał więc z całych sił, wymachiwał nożem

i zdrową nogą kopnął drapieżnika w pysk, kiedy ten znalazł się w zasięgu jego buta.

Trzylatek przeląkł się tego uderzenia i natychmiast rzucił się do panicznej ucieczki. Jednak po kilkunastu sekundach galopu osłabł, głód dał o sobie znać – i niedźwiedź zawrócił. Człowiek nie przestawał wrzeszczeć, próbował ciachnąć zwierzę po oczach, kiedy było już na tyle blisko, lecz potężny cios niedźwiedziej łapy złamał mu rękę i przetrącił obojczyk. Człowiek krzyknął jeszcze głośniejsze – ale niedźwiedź był już zdecydowany i zacisnął zęby na szyi ofiary, dławiąc jej krzyk i zaraz potem łamiąc kark.

Kiedy człowiek przestał się ruszać, niedźwiedź usiadł obok niczym warujący pies i przez moment odpoczywał po walce, sapiąc ciężko. Po chwili napoczął zdobycz. W przeciwieństwie do foczej skóry z tłuszczem watowany anorak nie był zbyt smaczkowity, niedźwiedź więc najpierw obgryzł porośnięte krótkim włosem policzki człowieka i dopiero wtedy przekonał się na pewno, że to dziwne stworzenie, chociaż kościste, nadaje się do jedzenia. Rozdarł warstwy tkaniny, w którą spowity był korpus, zjadł skórę z brzucha i piersi, odrobinę tłuszczu i mięsa, wszystkie wnętrzności, obrócił trupa, wyszarpał mięso z ud i pośladków. Łydek nie ruszył, guma z filcem sprawiły, że uznał je za niejadalne.

Po godzinie odszedł, ledwie zaspokoivszy głód, pozostawiając za sobą rozwleczone szczątki ku uciesze okolicznych lisów, które już zbiegły się na zapach krwi i z bezpiecznej odległości przyglądały się uczującemu królowi Arktyki. Biały władca północy znalazł łachę zleżającego śniegu, wytarzał się starannie, aby oczyścić futro na pysku i przednich łapach z krwi, po

czym nagle, pchany instynktem niepojętym, pognął galopem ku brzegowi morza, rzucił się w wodę i popłynął przed siebie, w ocean.

Łódź latająca catalina nie jest pięknym samolotem. Gdzież jej do opływowych linii nowoczesnych odrzutowców, jak pasażerski de Havilland Comet czy sowiecki myśliwiec MIG-17. MIG czasem przechwytywał catalinę nad Morzem Barentsa i groźnie towarzyszył jej przez parę minut. Z kokpitu łypało złowieszczo cyklopie oko lustrzanego wizjera hełmu, pod otwartym pyskiem samolotu sterczały trzy działka jedną salwą zdolne rozszarpać wrażliwy kadłub starej cataliny.

Zaprojektowano ją w innej epoce, w latach trzydziestych. Kadłub ma gruby i spłaszczony, aby utrzymał się na powierzchni przy wodowaniu, silniki umieszczone wysoko, w uniesionym ponad kadłub skrzydle. Całość wygląda niezdarnie, niczym ociężałe, otyłe ptaszysko. Na dodatek za skrzydłem, po obu stronach kadłuba, wystają szklane kopuły jak guzy, na nosie zaś mieści się wieżyczka niczym narośl. Podczas wojny siedział w niej zmarznięty strzelec i zaciskał dłonie na uchwytach ka-emu, wypatrując niemieckich myśliwców.

Jednakże granatowa łódź latająca w barwach 333. Eskadry Królewskich Norweskich Sił Powietrznych, która właśnie dotykała ciężkim kadłubem zmarszczonych wód Adventfjordu, nie nosiła już uzbrojenia. Pilot samolotu, kaptein Hjalmar Rønne, w czasie wojny stacjonował w Szkocji wraz z resztą 333. Eskadry,

wtedy w barwach RAF-u, latał na catalinach i wypatrywał w sinych falach Atlantyku niemieckich u-bootów.

Dziś 333. Eskadra zajmowała się transportem i misjami ratunkowymi, czasem nawet wyszukiwaniem ławic śledzi dla rybaków, co odrobinę frustrowało starych wojskowych pilotów. Jednostka stacjonowała w Sola niedaleko Stavanger, tysiąc trzysta osiemdziesiąt mil morskich na południe od Adventfjordu stanowiącego małą odnogę Isfjordu, który przecinał prawie na pół największą wyspę archipelagu Svalbard.

Norwegowie zwali wyspę po prostu Svalbard, inne zaś narody, które nazwę Svalbard rezerwowały dla całego archipelagu, dla odróżnienia określały wyspę jako Spitsbergen. Samo słowo „Svalbard” było zresztą jednym z tych toponimów, które mają wielkie znaczenie polityczne – jak chociażby „Dolny Tyrol” i „Górna Adyga” na określenie tego samego kraju w Alpach odpowiednio z austriackiej i włoskiej perspektywy. Nazwa „Spitsbergen” nie brzmiała dość norwesko dla narodu pielęgnującego troskliwie swoją świeżą datę etniczną odrębność i tożsamość, jakaś więc uczona głowa znalazła w normańskich sagach słowo „Svalbard”. Desygnat tej nazwy nie jest znany. Być może chodziło o Grenlandię, może o odkryty później przez Barentsa Spitsbergen, a może po prostu o prawdziwie zimny brzeg (bo to właśnie znaczy „Svalbard” po norwesku) – czyli o granicę lodu pakowego. Żadnych dowodów na obecność wikingów na Spitsbergenie nie znaleziono, ale działa się to w czasach, w których brak dowodów na udowodnienie historycznych pretensji nikogo nie powstrzymywał.

U samego końca długiego na pięć kilometrów Adventfjordu, w małej dolince odbijającej na południowy zachód od wlotu do

wielkiej doliny Adventdalen, między płaskowyżem Platåberget a masywem Lars Hierta fjellet, u stóp dwóch niewielkich lodowców leżało Longyearbyen, górnicza osada licząca tysiąc trzystu dwóch mieszkańców. Liczba ta lada chwila miała wzrosnąć do tysiąca trzystu ośmiu, albowiem na pokładzie cataliny, oprócz pięcioosobowej załogi, trzech wielkich worków z pocztą i dzieściu skrzynek ze świeżymi warzywami, znajdowało się sześciu pasażerów wymęczonych siedemnastogodzinnym lotem z krótkim międzylądowaniem na lotnisku w Tromsø, do którego catalina była zdolna, bo łodziowy kadłub skrywał również koła.

Kiedy latająca łódź dotknęła wody, kapitan Rønne zmniejszył ciąg silników i catalina powoli dobiła do kei przy nabrzeżu. Pięciu pasażerów było Norwegami. Trzech spośród nich było urzędnikami, wszyscy nosili charakterystyczne norweskie imiona i nazwiska – takie mógłby swoim bohaterom nadać pisarz, gdyby zależało mu, aby w powieści brzmiały norwesko przeciętnie. Wszyscy trzej należeli do specjalnej komisji rządu norweskiego, która miała za zadanie zbadać pewne finansowe aspekty działalności Store Norske Spitsbergen Kulkompani A/S, spółki będącej w całości własnością Królestwa Norwegii, a równocześnie właścicielem wszystkich norweskich kopalni na Svalbardzie. Store Norske administrowała przy tym całym właściwie norweskim stanem posiadania na Dalekiej Północy – praktycznie każdy mieszkaniec Longyearbyen pracował w SNSK.

Kolejni dwaj pasażerowie byli małżeństwem: specjalista górniczy inżynier Jan Kjærstad wraz z żoną Lisą. Przyjechali osiedlić się na Dalekiej Północy, ponieważ Kjærstad podpisał kontrakt na trzy lata, finansowo znakomity, który – jak liczył – pozwoli mu kupić po powrocie nowiutkie volvo ama-

zona, a może nawet jakiegoś mercedesa czy jaki tam samochód będzie szlagierem w roku 1960. Zamierzał również postarać się o kochankę, ponieważ Lisa, nordycko zasuszona niczym mumia wydobyta z wiecznej zmarzliny, dawno przestała wzbudzać w nim chociażby cień pożądania.

Szósty pasażer nie był Norwegiem. W jego dużym, zapiętym na pasek portfelu znajdowała się czerwona książeczka z wytłoczoną złotymi liniami tarczą herbową podtrzymywaną przez lwa i jednoroźca. U łap heraldycznych bestii ścieliła się wstęga z francuskim napisem DIEU ET MON DROIT. Napis w herbie był francuski, ale powyżej widniały już angielskie słowa: UNITED KINGDOM OF GREAT BRITAIN AND NORTHERN IRELAND, poniżej zaś krótkie: PASSPORT. Tylko Anglicy są narodem na tyle mocno przekonanym o swojej wartości, aby w oficjalnym herbie niefrasobliwie pozostawić motto w obcym języku, który nie jest łaciną. Niemiecki oficer, otrzymujący w czasie pierwszej wojny światowej za zabicie iluś tam Francuzów order Pour le Mérite, bez wątpienia musiał się czuć nieswojo, bo dawno już zapomniano w Niemczech, że Fryderyk Wielki zabraniał mówić w swoim towarzystwie po niemiecku, twierdząc, iż język ten brzmi jak szczekanie psów. Nic dziwnego, że w czasie drugiej wojny światowej nadawano już tylko szczerze antynapoleoński i arcyniemiecki Eiserner Kreuz.

Brytyjski paszport opiewał zaś niezbyt oryginalnie na nazwisko Johna Williama Smitha, urodzonego w roku 1929, a więc liczącego w chwili lądowania na wodach Adventfjordu lat dwadzieścia osiem i dwa miesiące.

Oprócz paszportu w portfelu spoczywały norweskie pieniądze, między banknotami zdjęcie łagodnie uśmiechniętej

kobiety w okularach, jasnowłosej, po czterdziestce. Typ urody, która się dobrze i elegancko starzeje. Jeszcze mały notes bez okładek, plik zszytych kartek wsunięty w przegródkę, w notesiku wpisane ołówkiem numery telefonów obok imion: Linda, Margaret, Sophie... numery telefonów do restauracji, kas kinowych i teatralnych w Londynie i Zurychu. Obok krótki, dobrze zaostrzony ołówek. Dwie aspiryny, dwie agrafki, zwitek nici, igła, dwa czarne guziki.

Portfel tkwił w zewnętrznej kieszeni wojskowej parki z ciepłą podpinką i futrzanym kapturem. Całość w kolorze oliwkowym, amerykańska. Pod kurtką, w kaburze pod pachą, spoczywał równie amerykański pistolet, potężna czterdziestkapiątka z siedmioma grubymi jak palec nabojami w magazynku i ósmym w komorze, zabezpieczona i z odwiedzionym kurkiem. Pistoletu nie było widać, ale pomiędzy pasażerami – Norwegami, którzy na Spitsbergen lecieli w szarych garniturach, jesionkach i kapeluszach o wąskim rondzie – człowiek w wojskowej kurtce i tak się wyróżniał jak lampart między antylopami.

Nie było w ogóle pewne, czy catalina będzie mogła wodować na fiordzie, wszystko zależało od tego, jakie będą warunki – ile kry, jaka fala i jaki wiatr. Zwykle nie wodowała, zrzućcano tylko worek z pocztą i ewentualnie warzywa oraz owoce w skrzynkach przyczepionych do spadochronów, lecz audyt, który miała przeprowadzić komisja, był sprawą tak pilną, że tym razem zdecydowano się na ten nieco ryzykowny sposób transportu zamiast zwykłego rejsu statkiem. Ale oczywiście przy trudnych warunkach wszyscy i tak wrócą do Tromsø, bo nikt nie będzie ryzykował wodowania na krze albo dużej fali. Pilot odrobinę niefrasobliwie oznajmił to swoim pasażerom

dopiero w chwilę po starcie. Smith poszedł wtedy do kabiny i zapytał z głupia frant, czy nie mógłby w takim wypadku wyskoczyć ze spadochronem, ale kapitan Królewskich Norweskich Sił Powietrznych potraktował to jako dobry żart i poklepał nawet Brytyjczyka po ramieniu.

Skoło jednak wodowanie się udało, na nabrzeżu miejskiej przystani, bykaia, szybko zebrał się nieliczy tłumek pracowników portu i górników, ponieważ samolot, czy to na wodzie, czy na kawałku prowizorycznie utwardzonej tundry w Adventdalen, to zawsze wielkie wydarzenie. Załoga cataliny zajęła się oporządzaniem samolotu, norwescy pasażerowie wysiedli nieco zawiedzeni, że żadne oficjalne czynniki nie pofatygowały się, aby ich powitać. Dopiero kiedy komendant portu w mundurze wybiegł ze swego biura i zaczął ścisnąć dłonie nowo przybyłym, urzędnicy, specjalista górniczy i jego zasuszona żona poczuli się ukontentowani.

Na Johna Williama Smitha nikt nie zwracał szczególnej uwagi, bo chociaż w samolocie wyróżniał się na tle normańskich urzędników, wyglądał jak górnik albo jeden z nielicznych naukowców – ci chętnie nosili tutaj praktyczne ubrania z amerykańskiego demobilu. Mężczyzna chwycił swój bagaż, na który składał się spory plecak oraz podłużny myśliwski pokrowiec, bez wątpienia skrywający sztucer – rzecz naturalna w rękach przybywającego na Spitsbergen, gdzie ze względu na duże szanse spotkania z *Ursus maritimus* niezbyt rozsądnie jest przechadzać się bez broni poza osadą. Wyszedł z kołyszącego się na wodzie samolotu i stanął na betonowym nabrzeżu. Było chłodno, nie więcej niż pięć stopni powyżej zera, niebo przykrywał pancerz stalowych chmur i od morza szedł zdecydowany wiatr,

wciskając się pod kurtkę. Kapitan portu zajmował się dostojnymi gośćmi i trajkotał coś po norwesku. Smith przed wyjazdem próbował się poduczyć tego języka, znajomość niemieckiego była w jakimś stopniu pomocna, ale facet gadał tak, że Smith nie zrozumiał praktycznie ani słowa. Sensu wypowiedzi bardziej się domyślił: komendant gratulował Norwegom odwagi, iż zdecydowali się na ryzykowną podróż powietrzną, zamiast przyleciać statkiem.

Johnem Williamem Smithem nikt się nie interesował. Nikt nie sprawdzał paszportu ani innych dokumentów, skoro wiadomo było, że catalina przyleciała z Norwegii. Smith założył plecak na ramiona, starannie układając szelki, pokrowiec ze sztucerem wziął pod pachę i ruszył przed siebie. Zapewne brali go za meteorologa, glaciologa czy geologa, a przy tym Szweda, Norwega albo Polaka – Rusek bowiem popłynąłby do Barentsburga lub do portu w Colesbukcie – który załapał się okazjnie na samolot i przyleciał, by skorzystać z ostatnich tygodni arktycznego lata.

Minął ogrodzenie portu, stanął na skraju szutrowej drogi. Jadący szosą jeep obsypał go węglowo-żwirowym pyłem. Smith rozejrzał się dookoła. Inaczej wyobrażał sobie Arktykę. W młodości czytał książki Londona i Curwooda i spodziewał się czegoś innego. W zasadzie nie wiedział czego, bo przecież nie puszcz Alaski i nie Eskimosów w igloo. Ale jednak – znajdował się na siedemdziesiątym ósmym z minutami stopniu szerokości geograficznej północnej, do biegunowych dziewięćdziesięciu brakowało jakieś tysiąc dwieście kilometrów, a właśnie omal nie przejechał go samochód. I jeszcze węgiel. Jak okiem sięgnąć ziemię pokrywał czarny pył przypominający mu miasto,

w którym się wychował. Przed nim wyrastał niezbyt wysoki płaskowyż, na jego nierównych klifach gołym okiem dało się dostrzec pofałdowane czarne warstwy węgla. Z płaskowyżu schodziła do portu kolejka linowa rozpięta na koślawych drewnianych masztach. Po linach sunęły jeden za drugim małe wózki, z których jak nabrzmiałe kiście winogron zwisały wagoniki z węglem. Widać było co najmniej kilkanaście napowietrznych linii, a wszystkie zbiegały się do dziwnego budynku, złożonego z kilku odeskowanych odnóg i wznoszącego się na wysokich na dwadzieścia metrów palach jak gigantyczny pająk. Po lewej wznosił się wielki komin elektrociepłowni, wylewały się z niego kłęby szarego dymu, powoli, przygniatane ciśnieniem atmosferycznym jak flegma ze śliną sącząca się z ust idioty. Smith przypomniał sobie komin, który widział z okna swojego dzieciennego pokoju. Bardzo podobnie pluł dymem. Za elektrociepłownią w głąb płaskowyżu wrzynała się niewielka dolinka, szeroka może na kilometr, a w niej, przytulone do morskiego brzegu, rozkwitały norweskie domki, między nimi protestancki zbór z wieżą jak kościelna, ich żywe kolory jak plamy jaskrawych farb na czarno-białej fotografii: ciężkie szare niebo, czarny pył węglowy i czarne surowe stoki gór. Śnieg, gdyby spadł, nie zepsułby tego monochromatycznego wrażenia, sporo go zresztą leżało wyżej, w górach, białymi jezorami zwieszając się w zacienionych żłebach.

Smith ruszył w stronę osady, ale nie uszedł nawet dziesięciu kroków, kiedy zatrzymało się obok niego pokryte czarnym kurzem stare volvo. W środku siedziało dwóch ludzi. Brodaty Norweg za kierownicą zaprosił go do środka, proponując podwiezienie. Smith zgodził się chętnie, bo plecak miał ciężki i nie

bardzo wiedział, gdzie szukać gubernatora. Usiadł z tyłu, obok na siedzeniu stało blaszane wiadro, w którym ocierały się o siebie wielkie, podobne do pstrągów ryby.

Norweg zaczął gadać coś w swoim języku, lecz Smith przerwał mu, po angielsku, że nie rozumie – co nawet ucieszyło brodacza, który przerzucił się zaraz na angielski. Przedstawił się jako Kjell Krag, przedstawił również swojego towarzysza, Haakona Sammlinga, i opowiedział o tym, że to oczywiście nie ich auto, tylko inżyniera, pożycza im, ponieważ wyłącznie Kjell wie, gdzie łowić takie piękne røye – niestety nie wie, jak się ta ryba po angielsku nazywa. I zaraz rozgadał się o tym, jak to był w Szkocji w wojsku, potem służył właśnie tutaj, na Svalbardzie, ganiał niemieckich meteorologów, a potem sam zwiewał przed „Tirpitzem”, który stał o właśnie tam, *exactly*, i walił do Longyearbyen ze wszystkich luf, a oni mieli tylko dwa malutkie działa, z których jedno stoi tutaj na pamiątkę. Zwolnił, aby przybyś z Wielkiej Brytanii mógł sobie dokładnie obejrzeć armatę w pancernej osłonie artylerii nabrzeżnej. Drugi pasażer, mikrej raczej postury brunet, milczał, uśmiechając się tylko.

Za działem stał opasy renifer i ocierał się grzbietem o wystającą krawędź pancerza. Renifer również stanowił dla Smitha pewne rozczarowanie – po pierwsze, stał sobie spokojnie w środku osady, nie bał się ani ludzi, ani samochodu, zajęty swędzeniem na kręgosłupie. Po drugie, był niemal karłowaty. Smith spodziewał się dumnych zwierząt wielkości jelenia, bo tak wyobrażał sobie karibu z książek Londona, tymczasem tłuste stworzenie miało pokraczne krótkie nóżki, poszarpaną sierść, na zadzie zwisającą w warkoczach sfilcowanych kołtunów, niezbyt sympatyczny pysk i przede wszystkim nie było większe

od sporej sarny. Może grubsze, lecz nie większe. Brodaty Norweg zapytany zaprzeczył, jakoby ren był udomowiony – po prostu nie boją się ludzi, chociaż od czasu do czasu ktoś znużony zastrzeli parę sztuk dla mięsa i rozrywki. Ale to raczej rzeź niż polowanie, skoro można do zwierza z pięciu kroków strzelać.

Wjechali między kolorowe domki usadowione na niskich palach, aby nie zapadały się w zmarzlinie. Ze stromego zbocza wyrastającego nad miastem wydobywał się dym, jakby cała góra płonęła w środku żywym ogniem. Smith zapytał o to swojego nowego znajomego – Norweg wyjaśnił, że to płonie pokład węgla, który Niemcy podpalili podczas wojny i jakoś jeszcze nie zgasł. *Somehow it's still burning.*

Człowiek z brytyjskim paszportem pokiwał głową z fałszywym zrozumieniem. Norweg zatrzymał auto, Smith podziękował i wysiadł, zapytał jeszcze o biuro gubernatora, zwanego tu sysselmannem, co z grubsza tłumaczyło się na angielskie „szeryf”, jak ten z książek o Robin Hoodzie. Archaiczny średnio-wieczny tytuł, wykopany z książek i nadany gubernatorowi Svalbardu.

Kjell pokazał mu biuro palcem w sposób, który w ojczyźnie Smitha uchodziłby za grubiański.

– Tutaj jest Haugen, tu mieszkają inżynierowie i inne szychy – powiedział, a następnie przesunął palec w lewo, wskazując na dolinę zamkniętą od północy językiem lodowca, i dodał ze swoim twardym akcentem: – Mieszkamy z Haakonem tam, w Nybyen, w części dla robotników. Zapraszamy, proszę wpaść kiedyś do nas.

Uśmiechnął się i odjechał.

Smith zauważył śnieg, przykrywał szczyty gór i zalegał w płaskowyżach za Adventfjordem. Panorama wybrzeża po drugiej stronie zatoki wydała mu się już bardziej polarna niż tutejszy węglowy pył, płonące zbocze płaskowyżu nad miasteczkiem, doki, wagoniki i ren przy armacie.

Zapukał i wszedł do biura. W środku siedziała sekretarka, z głębokim zgrozzeniem patrząc na buty przybysza. Nie wytrzymał tego wzroku i sam przyjrzał się własnemu obuwiu starannie, nie zauważył jednak niczego nietypowego. Zwykle wojskowe buty górskie. Z niemieckiego demobilu. Sekretarka powiedziała coś po norwesku, lecz z delikatną przyganą, Smith zaś nie rozumiał ani słowa, więc sekretarka powtórzyła jeszcze raz, bardziej zdecydowanie. Smith dalej nie rozumiał ani słowa, za to zrozumiał przesłanie, przypomniał sobie bowiem, że przed wejściem do biura stało kilka par butów. Miał je zdjąć, jakby wchodził do meczetu, nie do biura. Wzruszył ramionami, zwał plecak i sztucer tam, gdzie stał, wyszedł przed drzwi, zzuł bucior i wrócił, czując się niezbyt komfortowo w skarpetkach zupełnie nieświeżych.

Przyjrzał się dziewczynie i z pewnym smutkiem stwierdził, że jako sekretarka gubernatora jest zapewne zupełnie niedostępna, a szkoda, bo urodę miała posagową. Młoda i świetnie zbudowana, wysoka, co najmniej metr osiemdziesiąt, mocne kości, szerokie biodra, włosy tak blond, że prawie białe, spięte na karku w ciasny koczek, oczy cholernie niebieskie, a broda i nos zgrabne, zupełnie nienordyckie, dzięki czemu nie wyglądała, w przeciwieństwie do wielu swoich rodaczek, jak powierzchownie zantropomorfizowana klacz. Pod burym sweterkiem, skromnie zapiętym aż pod szyję, piersi jednocześnie duże i wysokie.

Skarpetki udobruchały urzędniczkę, która zapytała, nadal po norwesku, zapewne o coś w stylu: „Pan w jakiej sprawie?”. Smith odpowiedział po angielsku, że ma spotkanie z gubernatorem. Urzędniczka przeprosiła, również po angielsku, wstała i podeszła do drzwi. Biodra opinała spódniczka i Smith przez chwilę nie potrafił oderwać wzroku od smukłej talii i krągłych pośladków, aż westchnął z podziwu. Piękność go zaanonsowała i Smith znalazł się w biurze sysselmanna.

Za biurkiem siedział młody człowiek w eleganckim granatowym mundurze ze złotymi guzikami. Marynarski fason. Za nim wisiały dwie flagi: norweska i sowiecka. Sowiecka miała zapewne reprezentować radzieckie osady górnicze, Barentsburg, Pyramiden i Grumantbyen, wszystkie w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od norweskiej osady. Całe biuro przypominało wnętrze górskiej chaty w Alpach, tyle że było mniejsze.

Gubernator wstał, podał Smithowi dłoń, przedstawił się jako Egil Tønnessen, przywitał się uprzejmie, zapytał o podróż, wreszcie przeczytał dokładnie dokument, który Smith mu wręczył, chociaż był już wcześniej poinformowany o celu wizyty Brytyjczyka. Pieczołowicie odłożył dokument na blat, jakby trzymał w palcach akt własnej koronacji. Wygłosił wiązkę komunałów: że porównawcze studium socjologiczne społeczności górniczej w Longyearbyen i polskiej ekipy stacji badawczej w Hornsundzie uważa za nadzwyczaj ważne, że bardzo się cieszy, że to właśnie John Smith podjął się tej ciężkiej pracy... Ponieważ miał pewną orientację w naukach humanistycznych, tak naprawdę uważał, że pomysł na to studium porównawcze musiał być dziełem idioty, i miał nadzieję, że tym idiotą nie

jest jego gość, tylko jakiś jego oligofreniczny przełożony. Smith chętnie zgodziłby się z prawdziwą opinią gubernatora na temat zakresu jego rzekomych badań naukowych, gdyby tylko konwenanse nie zabraniały gospodarzowi tej opinii wygłosić.

Smith siedział więc na fotelu przed biurkiem i uprzejmie podtrzymywał rozmowę, ale nie mógł oderwać wzroku i myśli od czerwonego prostokąta ozdobionego żółtymi narzędziami. Od sowieckiej flagi, która z drzewcem skrzyżowanym z drzewcem flagi norweskiej wisiała za plecami gubernatora. Zastanawiał się, czy to naiwność, czy wyrachowanie, i miał szczerą nadzieję, że to drugie, bo zdecydowanie przedkładał cyników nad idiotów. Syssele Mann zaproponował, że osobiście zaprowadzi Smitha do lokalu, który mu przydzielono, wyszli więc razem, razem wzuwali buty. Kiedy Smith podniósł plecak, a gubernator wziął pokrowiec ze sztucerem, Smith się zdziwił, lecz nie odmówił.

Spacer nie był długi, Smith otrzymał pokój z łazienką i kuchenką w budynku w Dolnym Longyearbyen, jak później określił tę część osady na swój użytek. Czyli w Haugen. Biorąc pod uwagę spitsbergeńskie standardy – własna łazienka stanowiła wyjątkowy luksus, przysługujący wyłącznie pracownikom od inżyniera w górę. Pokój miał niezależne wejście, co bardzo Smitha ucieszyło, a mieścił się w baraczkach, który ktoś, kto by doceniał trudności, jakie niesie ze sobą budownictwo na terenach arktycznych, mógłby określić mianem drewnianego budynku. Ściany z desek niedawno pomalowano na intensywną zieleń, farba jeszcze się nie łuszczyła. Młody przedstawiciel rządu norweskiego na archipelag wielkości Irlandii wręczył Smithowi klucze do pokoju i talon na alkohol, jakby był recep-

cjonistą w tanim motelu, i poinformował o terminach posiłków w kantynie dla kadry zarządzającej. Wy tłumaczył również, jak dojść do sklepiku, w którym można kupić podstawowe produkty żywnościowe i alkohol, oczywiście racjonowany na podstawie talonu.

– Racjonowanie obowiązuje wszystkich, nawet gości – dodał jeszcze. – Proszę o zrozumienie, męska społeczność odcięta od innych rozrywek bardzo łatwo mogłaby stoczyć się w pijaństwo, a pijaństwo owocuje burdami, nietrudno byłoby zburzyć delikatny spokój społeczny.

– Naturalnie, rozumiem doskonale. Zresztą przecież nie przyjechałem tutaj biesiadować, więc to żaden problem dla mnie – odparł Smith.

– Świetnie. Musi pan być bardzo zmęczony po podróży, więc dłużej nie zatrzymuję.

Uścisnęli sobie dłonie i tysiąc trzysta dziesiąty mieszkaniec Longyearbyen został sam w swoim pokoiku z łazienką, tysiąc kilometrów od bieguna północnego.

Rzucił plecak i pokrowiec z bronią na łóżko, ściągnął kurtkę, zdjął kaburę z pistoletem i schował w szafce nocnej, wielkie kopyto ledwie się zmieściło do szufladki. Do szafy wrzucił ciuchy na zmianę, kilka książek położył obok łóżka, sprzęt biwakowy zostawił w plecaku. Z pokrowca wyciągnął karabin, żaden sztucer, tylko niemiecki mauzer z małym celownikiem optycznym o niewielkim powiększeniu, zamontowanym daleko od oka, na szczerbinie. Z demobilu norweskiej armii, o czym świadczyły norweskie bicia obok niemieckiej gapy oraz przystosowanie do amerykańskiej amunicji używanej przez Norwegów. Smith złożył się z karabinu, wycelował do beczki po

ropie widocznej przez okno i skrzywił się z niechęcią. Nie lubił mauzerów, kolba wydawała mu się nieporęczna, rączka zamka w niewygodnym miejscu, a cała broń za ciężka. Z wojskowej broni wolał garanda, uczyli go obsługi tego amerykańskiego karabinu w Niemczech, jeszcze w 1946 roku, mauzer kojarzył mu się wyłącznie z dużo gorszymi czasami. Za koło podbiegunowe chciał zabrać ze sobą jakiś lekki sztucer myśliwski, najlepiej dwulufowy ekspres albo dryling, ale w Firmie poradzili mu, że z norweskim mauzerem nie będzie się rzucał w oczy, bo na Spitsbergenie wszyscy je noszą do obrony przed niedźwiedziami. Zostały Norwegom po tych szczęśliwcach z Wehrmachtu, co wojnę przesiedzieli u nich jak u Pana Boga za piecem. Uparł się wtedy, że musi mieć celownik optyczny na karabinie, i był nieco zawiedziony, kiedy w Stavanger odebrał broń z tak słabą lunetką. Facet odpowiedzialny za logistykę na pretensje Smitha zareagował tylko wzruszeniem ramion i wzgardliwym wydeciem warg, więc Smith wziął, co dawali, i więcej nie narzekał.

Powiesił karabin na gwoździu koło drzwi i usiadł na łóżku.

– Kurwa mać – powiedział głośno. Rzeczywistość ugięła się pod przekleństwem i Smith poczuł się nieco raźniej. Z portfela wyciągnął zdjęcie jasnowłosej kobiety, wpatrywał się w nie przez chwilę, jakby chciał na tej oglądanej tysiąc razy fotografii wypatrzyć coś nowego, po czym schował z powrotem między skórzane przegródki.

Rozebrał się, wyciągnął pistolet z szufladki, sprawdził komorę i wepchnął broń między materac a ramę u głowy łóżka, po czym obiema rękami przycisnął poduszkę do policzka i śnił o ciemnej celi bez okna, której ceglane ściany pokrywa graffiti, ledwie widoczne w żółtym świetle żarówki przesączającym się

przez szpary w stalowych drzwiach. Najgorsze były kroki, dudniące na korytarzu. Potem marzenia sennie rozmyły się w snopy barw i dźwięków, aby w końcu zgasnąć i utonąć we śnie czarnym i bezświadomym jak śmierć.